



Giovanni Giagomo Casanova

Pamiętniki

Tom 1



NEXTO - KLASYKA LITERATURY

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

Moja rodzina – Dzieciństwo

Kajetan Józef Jakub Casanova uległ wdziękom aktorki imieniem Fragoletta, grywającej rolę subretek, i opuścił dla niej swoją rodzinę. Zakochany i nie mając z czego żyć postanowił wykorzystać własną osobę w celach zarobkowych. Poświęcił się sztuce tanecznej i przez lat pięć występował na deskach scenicznych, gdzie wyróżniał się bardziej rozwiązłością obyczajów niż talentem.

Czy to niestałością, czy to zazdrością wiedziony porzucił Fragolettę i przyłączył się w Wenecji do trupy komediantów produkujących się w teatrze Św. Samuela. Naprzeciwko domu, w którym mieszkał, miał swą siedzibę szewc nazwiskiem Hieronim Farusi, ze swą żoną Marzią i jedyną córką Zanettą, niezwyklej urody, w wieku lat szesnastu. Młody komediant zakochał się w tej dziewczynie i zdołał przemówić do jej uczuć, a następnie nakłonić ją, aby dała się porwać. Był to jedyny sposób, ażeby ją osiąść, jako że Kajetan Józef nigdy by nie uzyskał zgody Marzii, a tym bardziej Hieronima; w ich oczach bowiem komediant był osobą wszeteczną. Młodzi kochankowie zaopatrzeni w odpowiednie dokumenty i w towarzystwie dwóch świadków stawili się przed oblicze patriarchy weneckiego, który pobłogosławił ich związek małżeński. Marzia, matka Zanetty, podniosła wielki lament, ojciec zaś umarł ze zgrzyoty. Urodziłem się z tego stadła po dziewięciu miesiącach, 2 kwietnia 1725 roku.

W roku następnym matka pozostawiła mnie u babki, która przebaczyła jej, gdy się dowiedziała, że ojciec nie będzie nalegał, aby występowała na scenie. Taką obietnicę dają wszyscy komedianci żeniąc się z mieszczankami. Nie dotrzymują jej jednak nigdy, bo one wcale na jej dotrzymanie nie nalegają. Zresztą szczęśliwie się stało, że moja matka wstąpiła na scenę, bo gdyby nie to, zostawszy w dziewięć lat potem wdową obarczoną sześciorgiem dzieci, jakżeby je wychowała?

Pamięć moja rozwinęła się na początku sierpnia 1733 roku. Miałem wtedy lat osiem i cztery miesiące. Nie pamiętam nic z tego, co się przedtem ze mną działo. A oto co wtedy zaszło:

Stałem w kącie pokoju, twarzą do ściany, podtrzymując rękami głowę i wpatrzony w krew ściekającą obficie z nosa na podłogę. Moja babka Marzia, której byłem ulubieńcem, podeszła do mnie, obmyła mi twarz zimną wodą i

nikomu nic nie mówiąc zabrała mnie z sobą do gondoli i kazała się zawieźć na wyspę Murano, o pół mili od Wenecji.

Po opuszczeniu gondoli weszliśmy do jakiejś rudery, gdzie zastaliśmy starą kobietę, trzymającą w objęciach czarnego kota i otoczoną kilkunastu innymi kotami. Była to czarownica. Obie starszki wdały się w długi dyskurs, którego byłem zapewne przedmiotem. Po czym czarownica, dostawszy od mojej babki srebrnego dukata, otworzyła skrzynię, wzięła mnie na rękę i zamknęła w tej skrzyni mówiąc, żebym się nie lękał, co wystarczyłoby, aby mnie napełnić przerażeniem, gdybym nie był całkowicie ogłupiały. Siedziałem więc w kącie skrzyni, trzymając chustkę przy wciąż krwawiącym nosie, obojętny na hałas z zewnątrz. Słyszałem kolejno śpiewy, płacze, krzyki i stukanie w skrzynię. Nic mnie to nie obchodziło. Wreszcie czarownica wydobyla mnie ze skrzyni. Krew ciekła już mniej gwałtownie. Ta nadzwyczajna baba, wypieściwszy mnie na wszystkie strony, rozebrała mnie, położyła do łóżka, spaliła jakieś ziele, zebrała dym w prześcieradło, owinęła mnie nim, odmówiła zaklęcia, odwinęła prześcieradło i dała mi do zjedzenia pięć pastylek o przyjemnym smaku. Następnie natarła mi skronie maścią o słodkim zapachu, ubrała mnie i orzekła, iż krwotok powoli ustanie, o ile nikomu nie powiem, co zrobiła, aby mnie wyleczyć, w razie zaś gdybym komukolwiek wyjawiał ten sekret, czeka mnie śmierć niechybna z upływu krwi.

Po tej podróży do Murano krwawiłem jeszcze z nosa czas jakiś, ale coraz mniej z dniem każdym, a moja pamięć rozwinęła się stopniowo. Nauczyłem się czytać w miesiąc niespełna.

Ojciec mój rozstał się z życiem w kwiecie wieku, mając lat trzydzieści sześć zaledwie. Do grobu odprowadził go szczery żal publiczności, a zwłaszcza szlachty, która doceniała zarówno jego znajomość mechaniki, jak urodzenie wyższe od zawodu, jaki mu uprawiać przyszło. Na dwa dni przed śmiercią ojciec czując, że koniec się zbliża, kazał mnie i memu rodzeństwu zebrać się przy swoim łożu, w obecności żony i panów Grimani, szlachciców weneckich, aby ich ubłagać o opiekę nad nami. Udzieliwszy nam błogosławieństwa zażądał od mej szlochającej matki, aby zaprzysięgła, iż żadnego z dzieci nie wychowa dla teatru, gdzie – gdyby nie zgubna namiętność – nigdy by się sam nie znalazł. Matka złożyła to uroczyste przyrzeczenie, a trzech patrycjuszów poręczyli jego moc obowiązującą. Przemysłność dopomogła matce w dotrzymaniu słowa... Aczkolwiek młoda i piękna, odrzuciła wszystkich ubiegających się o jej rękę i ufna w łaskę Opatrzności wierzyła, iż zdoła nas sama wychować.

Pan Baffo, wielki przyjaciel mego ojca, wzniosły geniusz, niezrównany poeta, najsprośniejszy ze wszystkich uprawiających ten rodzaj twórczości, dopomógł w oddaniu mnie do szkoły w Padwie. Pobożna gorliwość inkwizytorów Republiki Weneckiej przyczyniła się do jego sławy; prześladując bowiem jego manuskrypty podnieśli znacznie ich wartość. A powinni byli wiedzieć, iż sprete exolescunt, czyli wzgarda podnosi cenę.

Ksiądz Grimani podjął się wynaleźć dla mnie dobrą stancję za pośrednictwem swego znajomego, chemika nazwiskiem Ottaviani, mieszkającego w Padwie, gdzie był również antykwariuszem. Przyszło mu to z łatwością i 2 kwietnia 1734 roku, w

dziewiątą rocznicę moich urodzin, wyruszyliśmy: ksiądz Grimani, pan Baffo, moja matka i ja statkiem zwanym burchiello wzdłuż kanału Brenta do Padwy.

Burchiello jest to jakby pływający domek. Pod otwartym pomostem znajduje się sala z gabinetami, po obu zaś jej stronach, na rufie i na dziobie, są pomieszczenia dla służby. Sala ma kształt długiego prostokąta o oszklonych oknach, zaopatrzonych w okiennice.

Matka wstała o świcie i otworzyła okno naprzeciwko mego łóżka. Obudziłem się więc pod wpływem padających wprost na moją twarz promieni wschodzącego słońca. Łóżko było zbyt niskie, abym mógł dostrzec ląd; przez okno widziałem tylko wierzchołki drzew rosnących na brzegu rzeki. Łódź płynęła tak łagodnie, że nie mogłem się tego domyślić, i przesuające się szybko przed moimi oczyma drzewa napełniły mnie nie lada zdumieniem.

— Mamo! – zawołałem. – Drzewa chodzą!

W tej chwili weszli obaj nasi towarzysze podróży i obserwując moje zdziwienie zapytali o przyczynę.

— Jakim sposobem – odpowiedziałem – drzewa chodzą?

Roześmieli się, a matka westchnąwszy rzekła pogardliwym tonem:

— To łódź się porusza, nie drzewa. Ubieraj się. Zrozumiałem natychmiast istotę tego zjawiska.

— A zatem – rzekłem – jest możliwe, że słońce również się nie porusza, lecz to my się przesuwamy z zachodu na wschód.

Zbeształa mnie zacna matka za wypowiedzianie takich głupstw, a ksiądz Grimani nuże biadać nad tępotą mego umysłu. Mnie zaś, skonfundowanemu doszczętnie, na płacz się zbierało. Pan Baffo przywrócił mi równowagę ducha. Ucałował mnie serdecznie i rzekł:

— Masz rację, moje dziecko. Rozumuj zawsze śmiało i nie dbaj o śmiech innych.

Na co zapytała go moja matka, czy aby nie zwariował, lecz filozof nie odpowiedział jej nawet i tłumaczył mi dalej teorię przeznaczoną po prostu dla mego zdrowego rozsądku. Była to pierwsza przyjemność, jakiej zakosztowałem w życiu.

Do Padwy przybyliśmy wczesnym rankiem i udaliśmy się do domu Ottavianiego, a jego żona upieściła mnie i ucałowała serdecznie.

Ottaviani zaprowadził nas do domu, gdzie miałem pozostać na stacji, około pięćdziesięciu kroków od jego mieszkania, w parafii Sw. Michała, u starej Kroatki, która wynajmowała swoje pierwsze piętro pani Mida, żonie pułkownika. Otwarto przed nią mój kuferek i wręczono jej spis wszystkiego, co zawierał. Następnie wyliczono jej sześć cekinów, z góry za sześć miesięcy. W zamian za tę drobną sumę miała mnie żywić, opierać i kształcić w szkole. Po czym ucałowano mnie, polecono słuchać we wszystkim jej rozkazów i w ten sposób mnie się pozbyto.

Babka umieszcza mnie u doktora Gozzi – Moja pierwsza dziecinna miłość

Zaledwie pozostałem sam z Kroatką, zaprowadziła mnie na strych i wskazała jedno z pięciu stojących rzędem łóżek. Trzy należały do trzech chłopców w moim wieku, przebywających podówczas w szkole, a na pozostałym spała służąca, której zadaniem było poskramiać figle, jakim chętnie oddają się uczniacy.

Nie czułem się ani uradowany, ani smutny; nie ulegałem ani nadziei, ani obawie, ani ciekawości, aczkolwiek nie wiedziałem jeszcze, co to jest piękno lub szpetota. Raziło mnie tylko ordynarne obejście i wygląd mojej opiekunki... Ogromnego wzrostu i barczysta jak żołnierz, cerę miała żółtą, włosy czarne, brwi długie i gęste, podbródek zdobiło kilkanaście długich włosów. A na dobitkę ohydne piersi, prawie odkryte, zwisały do połowy jej długiej postaci. Mogła mieć z pięćdziesiąt lat.

Okolo południa nadeszli trzej koledzy i – jakbyśmy się znali od dawna – powiedzieli mi mnóstwo rzeczy, suponując, iż pewne pojęcia nie są dla mnie tajemnicą. Nie odpowiadałem im, co ich bynajmniej nie zniechęciło... Na obiad, po cienkiej zupie, dostaliśmy każdy małą porcję suchej ryby i jabłko. Na tym koniec. Byliśmy w okresie wielkiego postu. Nie mieliśmy ni szklanek, ni kubków i piliśmy z jednego glinianego garnka napój zwany graspo, przyrządzany z gotowanych w wodzie winogron, po wyjęciu z nich pestek.

Po obiedzie służąca zaprowadziła mnie do szkoły, do młodego księdza nazwiskiem doktor Gozzi, któremu moja opiekunka zobowiązała się płacić czterdzieści groszy, to jest jedenastą część cekina. Miałem się nauczyć pisać, posadzono mnie więc, na początek, wśród sześcioletnich dzieci. Nie omieszkały się ze mnie natrzęsać.

Po powrocie dostałem kolację, oczywiście skromniejszą niż obiad. Następnie położyłem się do łóżka, lecz robactwo należące do trzech dosyć znanych gatunków nie pozwoliło mi zmrużyć oka. Ponadto szczury hasające po całym strychu wskakiwały na moje łóżko i krew mi zastygała w żyłach ze strachu... Służąca pozostała głuchą na moje krzyki.

Nazajutrz rano po raz pierwszy w życiu płakałem ze złości i zmartwienia, czekając, aż zbudzą się koledzy. Ci jednak, zamiast współczuć, naigrawali się ze mnie. Biedacy dzielili moją niedolę, ale zdążyli się do niej przyzwyczaić, a to wszystko tłumaczy.

Ksiądz Gozzi dbał starannie o moje wychowanie. Posadził mnie przy własnym stole i aby mu okazać, iż doceniam to wyróżnienie, przykładalem się do nauki ze wszystkich sił. Toteż po upływie miesiąca pisałem już tak dobrze, iż kazał mi przejść do gramatyki. Nowy tryb życia, stały dokuczliwy głód, a zwłaszcza, jak sądzę, powietrze Padwy dały mi zdrowie, jakiego nigdy przedtem nie zaznałem. Tym trudniej było mi znosić niedożywienie. Rosłem w oczach, spałem dziewięć godzin najtwardszym snem, żadną zjawą nie zmaconym... Natarczywy głód byłby mnie w końcu osłabił, gdybym się nie nauczył chwytać i połykać wszystko, co było jadalne, wszędzie i zawsze, o ile byłem pewny, że nikt nie widzi. Wypatrzyłem kilkadziesiąt śledzi wędzonych w szafie kuchennej i pożarłem je kolejno wszystkie, jak również kielbasy wiszące w kominie. Aby się do nich dostać niepostrzeżenie, wstawałem w nocy i pładrowałem po omacku. Wszystkie jaja, świeżo zniesione w kurniku, łykałem, jeszcze ciepłe, z rozkoszą.

Kroatka wściekła, iż nie może wykryć złodzieja, wyrzucała służące jedną po drugiej. Jednakże okazje do kradzieży nie nadarzały się zbyt często i chudy byłem jak szkielet.

Po paru miesiącach zrobiłem tak wielkie postępy, że doktor Gozzi mianował mnie dekurionem szkoły. Do moich obowiązków należało sprawdzanie, czy trzydziestu kolegów nauczyło się zadanej lekcji, poprawianie ich błędów, pochwała lub nagana przed nauczycielem. Niedługo trwała moja surowość. Leniuchy łatwo znalazły sposób, aby mnie udobruchać. Gdy szwankowała ich łacina, przekupywali mnie kotletami, kurczętami, nawet pieniędzmi. Podnieciło to moją chciwość, a raczej łakomstwo, i nie ograniczając się do wyzyskiwania nieuków, stałem się tyranem dla wszystkich, i nawet zasługującym odmawiałem aprobaty za darmo. Nie mogąc ścierpieć niesprawiedliwości, koledzy oskarżyli mnie o przekupstwo przed nauczycielem, który mnie zdegradował, co miałoby fatalne skutki, gdyby nowy i szczęśliwy zwrot w moim życiu nie położył kresu okrutnemu nowicjatowi.

Doktor Gozzi, który mnie polubił, wezwał mnie kiedyś do swojego gabinetu i w cztery oczy zapytał, czy zechcę dopomóc mu w staraniach, jakie ma zamiar podjąć, by mnie odebrać od Kroatki i zabrać do siebie. A gdym się ucieszył, kazał mi przepisać trzy listy: do pana Baffo, do księdza Grimani i do mojej babki...

W owych listach opisywałem swoje cierpienia i zapowiadałem, że umrę, jeżeli nie odbiorą mnie od Kroatki i nie umieszczą u mego preceptora, który jednak żąda dwóch cekinów miesięcznie.

W tydzień potem, w chwili gdy zasiadałem do stołu, przybyła babka, która mnie kochała nad życie. Wzięła mnie zaraz na kolana, a ja czując, że mi odwaga powraca, opowiedziałem z płaczem wszystkie doznane krzywdy, wskazałem, co mi jeść dawano, i zaprowadziłem ją, aby pokazać moje łóżko. Kroatka rzekła na to bezczelnie, iż za pieniądze, jakie otrzymuje, nie może mi lepiej dogodzić. Babka odpowiedziała spokojnie, że mnie zabiera, i kazała jej spakować moje manatki.

Zaprowadziła mnie zaraz na obiad do oberży, gdzie zamieszkała, ale sama prawie nic nie jadła, tak była zdziwiona moją żarłocznością. Nadszedł zawezwany doktor Gozzi, który zrobił na babci jak najlepsze wrażenie. Wypłaciła mu za pokwitowaniem dwadzieścia cztery cekiny za rok z góry, ale pozostała ze mną trzy dni, podczas których ubrała mnie po księżowskiu i kazała sprawić perukę, gdyż aby doprowadzić moją zawszoną głowę do porządku, musiano mi obciąć włosy.

Rodzina doktora Gozzi składała się z jego ojca, szewca, i ze starej zgryźliwej matki, która wielce szanowała swego syna, gdyż jako chłopka nie uważała się za godną być matką księdza i w dodatku doktora. Ojciec pracował przez dzień cały do nikogo się nie odzywając, nawet przy stole. Towarzyski stawał się dopiero w dni świąteczne. Spędzał je z reguły w karczmie, skąd wracał o północy pijany i wyśpiewujący pieśni Tassa... Po trzeźwemu nie potrafił zebrać myśli i jego żona mawiała, iż nigdy by się nie zdecydował na ślub z nią, gdyby go dobrze nie uczęstowała przed pójściem do kościoła.

Doktor Gozzi miał również siostrę Bettinę. Była ładna, wesola i pilnie czytywała romanse. Rodzice karcili ją za zbyt częste ukazywanie się w oknie, brat zaś za skłonność do lektury. Spodobała mi się ta dziewczyna, chociaż nie wiedziałem dlaczego, i ona to powoli roznieciła w moim sercu iskrę namiętności, która z czasem stała się dominującą w moim życiu.

W ciągu dwóch lat doktor Gozzi wdrożył mnie we wszystko, co sam umiał. Niewiele tego było w gruncie rzeczy, wystarczyło jednak, aby mnie wtajemniczyć we wszystkie rodzaje wiedzy. Nauczył mnie również gry na skrzypcach, co mi się później przydało. Nie będąc w najmniejszej mierze filozofem, zapoznał mnie z logiką perypatetyków i antyczną kosmografią Ptolomeuszów; wykpiwałem ją nieustannie, złoścąc go pytaniami, na które nie umiał odpowiedzieć. Jego obyczaje były nienaganne i chociaż nie bigot, odznaczał się bezwzględną surowością w dziedzinie religii... Zwykł mawiać, że nic go bardziej nie drażni niż niepewność, a zatem tępił myśl, jako że myśl pobudza wątpliwości.

Największą jego pasją było kaznodziejstwo, w czym przychodziły mu z pomocą dorodna postać i dźwięczny głos. Toteż aczkolwiek był zaprzysiężonym wrogiem płci pięknej, jego audytorium składało się wyłącznie z kobiet. Grzech nieczystości uważał za najcięższy ze wszystkich i gniewał się na mnie, gdy ośmielałem się go zaliczać do najlżejszych. Swoje kazania szpikował cytatami z greckich autorów, które tłumaczył na łacinę równie niezrozumiałą, jak greka dla jego słuchaczek... Lubił się natomiast mną pochwalić przed przyjaciółmi, jako że nauczyłem się czytać po grecku sam, jedynie z pomocą podręcznika gramatyki.

W okresie wielkiego postu 1736 roku matka moja napisała do doktora Gozzi, iż niebawem wybiera się na występy do Petersburga i pragnąc mnie zobaczyć przed wyjazdem prosi, abyśmy obaj przybyli na parę dni do Wenecji... Przyjęła nas z wielkopańską łaskawością, a że była piękna jak jutrzeńka, mój biedny profesor stropił się wielce i nie śmiał na nią podnieść oczu.

Pierwszą rzeczą, która wywołała zgorszenie matki, była moja blond peruka, rażąca przy ciemnośniadej cerze i kłócąca się jak najbardziej z moimi czarnymi brwiami i oczyma. Doktor zapytany, dlaczego nie noszę fryzury z własnych

włosów, odpowiedział ku uciechu zebranych, że jego siostrze łatwiej jest w ten sposób utrzymać swoją głowę w czystości. Matka obiecała piękny podarek dla siostry, o ile zechce pielęgnować moje włosy, po czym kazała sprowadzić perukarza i zaopatrzyć mnie w perukę dobraną do koloru twarzy.

Przy kolacji doktor Gozzi siedział przy mojej matce bardzo onieśmielony i byłby się ani słówkiem nie odezwał, gdyby jakiś uczony Anglik nie zwrócił się do niego po łacinie. Na co doktor odpowiedział skromnie, iż nie rozumie po angielsku, co wywołało głośny wybuch śmiechu. Pan Baffo wybawił nas z kłopotu mówiąc, że Anglicy czytają i wymawiają łacinę tak samo jak włoską mowę. Wtedy nadmieniałem, że błędzilibyśmy w tej samej mierze co Anglicy, gdybyśmy czytali i wymawiali język angielski zgodnie z regułami przyjętymi dla łaciny. Anglik zachwycony moją bystrością napisał zaraz następujący dystych i dał mi do przeczytania:

Dicite, grammaciti, cur masculina nomina cunnusEt cur femineum mentula nomen habet.

Odczytawszy to głośno, zawołałem:

— To przynajmniej jest łacina!

— Tyle i my wiemy – rzekła moja matka – ale należy to przetłumaczyć.

— To wystarczy – odpowiedziałem. – Zaraz odpowiem na to pytanie.

I zastanowiwszy się przez chwilę napisałem taki pentametram:

Disce quod a domino nomina servus habet.

Był to mój pierwszy w życiu wyczyn literacki i aplauz, jakim go powitano, zasiał w mej duszy podziw dla poetyckiej sławy. Zdumiony Anglik orzekł, że żaden inny jedenastoletni chłopak tyle by nie potrafił, ucałował mnie i podarował swój zegarek.

W cztery dni później na odjeźdźnym matka dała mi paczkę dla Bettiny, zaś ksiądz Grimani cztery cekiny na kupno książek. Znalazłszy w tej paczce pięć łokci czarnego atlasu i tuzin par rękawiczek Bettina zaczęła mi okazywać szczególne względy i tak starannie zajęła się moimi włosami, że po sześciu miesiącach porzuciłem perukę. Przychodziła mnie czesać codziennie i nie zawsze czekała, aż się ubiorę. Myła mi twarz, szyję i piersi, nie szczędząc dziecinnych pieściz. Uważałem je za niewinne i karmiłem sam siebie za podniecenie, jakie we mnie wywoływały. Będąc młodszy od niej o trzy lata, nie wierzyłem, aby mogła mnie kochać zmysłowo. Po zakończeniu toalety całowała mnie czule, nazywała kochanym dzieckiem i aczkolwiek miałem nie lada ochotę pójść za jej przykładem, nie stawało mi na to odwagi. Później co prawda pod wpływem wysmiewania przez nią mej nieśmiałości zmężniałem i oddawałem jej pocałunki jeszcze gorętsze od jej własnych, zatrzymując się jednak, ilekroć odczuwałem pokusę, aby posunąć się dalej.

Na początku jesieni doktor Gozzi przyjął trzech nowych pensjonariuszy i nie upłynął miesiąc, a już jeden z nich, piętnastoletni Cordiani, doszedł, jak mi się zdawało, do zażyłości z Bettiną. Wzbudziło to we mnie nieznane dotychczas uczucie, które zanalizowałem dopiero po paru latach. Ani zazdrość, ani oburzenie, lecz szlachetną pogardę. Tłumić jej nie uważałem za stosowne, Cordiani bowiem, wulgarny, bez polotu, bez towarzyskiej ogłady, syn zwykłego chłopca nie mogący w

niczym mi sprostać, miał nade mną tylko przewagę wieku i nie zasługiwał w moich oczach na takie wyróżnienie. Rodząca się miłość własna mówiła mi, że jestem wart więcej od niego. To uczucie dumy zmieszanej z pogardą zwróciło się przeciwko Bettinie, którą kochałem nie wiedząc o tym. Zrozumiała mój żal po sposobie, w jaki przyjmowałem jej pieszczoty, gdy przychodziła do łóżka mnie czesać. Odpychałem jej ręce i nie oddawałem pocałunków. Dotknięta, orzekła, iż jestem zazdrosny o Cordianiego, co uznałem za upokarzającą kalumnię, i odpowiedziałem, że uważam ich za godnych jedno drugiego. Odeszła z uśmiechem i postanowiła wzbudzić we mnie zazdrość.

Pewnego ranka przyszła do mego łóżka przynosząc własnoręcznie szydełkiem wykonaną parę białych pończoch i po uczesaniu powiedziała, iż musi mi je sama przymierzyć, aby sprawdzić, czy niczego im nie brak. W chwili naciągania pończoch orzekła, że moje uda są brudne, i nie pytając o zgodę przystąpiła do mycia. Poddałem się jej woli nie wiedząc nawet, co z tego wyniknie. Bettina posunęła zbyt daleko swą troskę o schludność i jej ciekawość sprawiła mi rozkosz tak gwałtowną, iż ustała ona dopiero po jej całkowitym zaspokojeniu. Odzyskawszy kontenans uznałem się winnym i prosiłem o przebaczenie. Nie spodziewała się tego i po namyśle odpowiedziała pobłażliwym tonem, że wina jest po jej stronie, lecz to się już nie powtórzy. Po czym pozostawiła mnie gorzkim refleksjom. Były straszliwe: zdawało mi się, że ją zbezczeszcilem, że zdradziłem zaufanie jej rodziny, pogwałciłem święte prawa gościnności i popełniłem okropną zbrodnię, którą mogłem okupić tylko małżeństwem, o ile Bettina zechciałaby tak niegodnego jej nicponia za męża.

Po tym incydencie Bettina przestała przychodzić do mego pokoju. Przez pierwszy tydzień jej wstrzemięźliwość wydawała mi się rozsądna i nurtująca mnie rozterka przeobraziłaby się wkrótce w doskonałą miłość, gdyby względy, jakie okazywała Cordianiemu, nie zaszczyły w mej duszy jadu zazdrości, aczkolwiek nie podejrzewałem, aby zawiniła z nim tak jak ze mną. Przekonanie, że to, co uczyniła, uczyniła z rozmysłem, a tylko skrucza nie pozwala jej znowu zbliżyć się do mnie, schlebiało mej miłości własnej, bo dowodziło, że mnie kocha; postanowiłem więc zachęcić ją pisemnie. List mój oceniłem jako arcydzieło, które winno wzbudzić jej uwielbienie i dać mi przewagę nad Cordianim. W pół godziny po otrzymaniu go powiedziała mi z ożywieniem, że przyjdzie nazajutrz rano, jak dawniej, do mego pokoju. Na próżno jednak na nią czekałem. Jakież było moje zdziwienie, gdy nazajutrz zapytała mnie przy stole, czy zgodzę się pójść z nią za parę dni, przebrany za dziewczynę, na bal do doktora Olivo, jednego z naszych sąsiadów. Wszystkim spodobał się bardzo ten pomysł, więc przyjąłem jej propozycję, lecz oto co stanęło na przeszkodzie i wywołało prawdziwą tragikomedję:

Ojciec chrzestny doktora Gozzi, sędziwy i majątny, czując po długiej chorobie, iż śmierć się zbliża, posłał po niego powóz z prośbą, aby przybył wraz z ojcem asystować przy jego zgonie i polecić jego duszę Bogu. Stary szewc wychylił wpiერw gąsiorek, po czym ubrał się odświętnie i obaj wyjechali. Uznałem to za pomyślną okoliczność i uważając bal za bardzo jeszcze odległy, znalazłem odpowiedni

moment, aby powiedzieć Bettinie, iż zostawię drzwi mojego pokoju otwarte i będę na nią czekał po udaniu się wszystkich na spoczynek. Odparła, że przyjdzie na pewno. Spała na parterze w alkierzu odseparowanym tylko cienkim przepierzeniem od izby ojca. Ja zaś miałem pokój oddzielny. Doktor Gozzi był nieobecny, trzech pensjonariusze spali w pokoju na uboczu, nie żywiłem więc żadnych obaw.

Czekałem dosyć spokojnie do północy, ale gdy minęła druga, trzecia, czwarta, a Bettiny wciąż nie było, krew we mnie zawrzała, ogarnęła mnie wściekłość. Na godzinę przed świtem zdecydowałem się zejść na dół, boso, by nie obudzić psa, i podejść pod drzwi Bettiny, które powinny były być otwarte, gdyby była wyszła. Ale zastałem je zamknięte, a że można było to uczynić tylko od wewnątrz, sądziłem, iż zasnęła. Złamany bólem i nie wiedząc, co począć, usiadłem, szcękając zębami z zimna, na ostatnim stopniu schodów. O świcie, w obawie, że zastanie mnie tam służąca i posądzi o postradanie zmysłów, zdecydowałem się powrócić do siebie. Wstałem i w tej chwili doszedł mnie hałas z pokoju Bettiny. Pewny, że ukaże się, i ożywiony tą nadzieją podszedłem do drzwi. Zamiast niej jednak wypadł z nich Cordiani i jednym kopnięciem zwaliwszy mnie z nóg w głęboki śnieg, pobiegł, nie zatrzymując się, do pokoju, gdzie sypiał z kolegami, braćmi Feltrini.

Oszukany, zgnębiony, upokorzony, wydany na drwiny triumfatora Cordianiego powróciłem do swego pokoju, gdzie snułem najczarniejsze zamysły zemsty. Otrucie ich obojga wydawało mi się nie wystarczające w tej strasznej chwili mego życia.

W tym stanie ducha usłyszałem nagle przed moimi drzwiami skrzeczący głos matki Bettiny, która prosiła, abym zszedł, gdyż jej córka umiera. Zmartwiony, iż w ten sposób gotowa ujść mej zemsty, zbiegłem czym prędzej na dół i zastałem ją w łóżku ojca, w otoczeniu rodziny, na wpół ubraną, wijącą się w okropnych konwulsjach. Po przeżytej nocy nie wiedziałem, co o tym myśleć, a obcą mi była chytrość kobiet. W godzinę potem Bettina zasnęła spokojnie, a wezwana akuszerka, przybyła w tym samym czasie co doktor Olivo, orzekła, iż objawy te są rezultatem histerycznych humorów. Doktor był przeciwnego zdania i przepisał odpoczynek i zimne kąpiele. Co do mnie, to śmiałem się z nich w duszy będąc pewien, że choroba Bettiny pochodzi od jej nocnych igraszek lub ze strachu, jakiego jej napędziło moje spotkanie z Cordianim. Nie przypuszczałem bowiem, aby potrafiła tak świetnie symulować chorobę.

Nazajutrz matka Bettiny przerwała moją lekcję z doktorem Gozzi i po długim wstępie powiedziała, iż wie, co dolega jej córce. Czarownica – którą zna – rzuciła na nią zły urok.

— To możliwe, droga matko, ale w takich sprawach strzeżmy się omyłki. Któż jest ową czarownicą?

— Nasza stara służąca i przed chwilą przekonałam się o tym.

— W jaki sposób?

— Zatarasowałam drzwi mego pokoju dwoma skrzyżowanymi kijami od miotły. Widząc je weszła przez drugie drzwi. Gdyby nie była czarownicą, byłaby oczywiście rozkrzyżowała te kije.

— To nie jest takie oczywiste. Sprowadź mi tu tę kobietę.

A gdy się pojawiła, doktor Gozzi zapytał ją:

— Dlaczego nie weszłaś dziś rano tymi drzwiami, jak zwykle?

— Nie rozumiem, o co księdzu chodzi.

— Czy nie widziałaś na drzwiach krzyża świętego Andrzeja?

— Co to za krzyż?

— Udajesz głupią – wtrąciła matka – gdzie nocowałaś w ostatni czwartek?

— U mojej siostrzenicy, która rodzi.

— Nic podobnego! Byłaś na sabacie czarownic i rzuciłaś urok na moją córkę.

Oburzona kobieta plunęła jej w twarz, stara Gozzi pochwyciła za kij. Doktor musiał je rozdzielić i datkiem pieniężnym uspokoić zawzięcie złorzeczącą sługę.

Po tej scenie zabawnej i skandalicznej doktor Gozzi nałożył swe liturgiczne szaty, aby odprawić egzorcyzmy przy siostrze i sprawdzić, czy istotnie zły duch ją opętał. Nie poprzestając na tym matka Bettiny zaprosiła najświetniejszego w Padwie egzorcystę, nad wyraz szpetnego kapucyna, zwanego bratem Prospero da Borolenta. Zaledwie Bettina go ujrzała, wybuchnęła śmiechem i zaczęła wykrzykiwać najgorsze obelgi, co ucieszyło zebranych dokoła, jako że tylko diabeł mógł się odważyć na takie traktowanie kapucyna. Egzorcysta, zwymyślany od śmierzących brudasów i głupców, zaczął okładać Bettinę krucyfiksem, twierdząc, iż bije diabła, i zaprzestał dopiero, gdy we własnej obronie pochwyciła nocnik.

Doktor Gozzi zarumienił się, lecz nie stropiony niczym kapucyn odczytał straszliwą formułę egzorcystyczną, po czym wezwał szatana, aby powiedział swe imię.

— Nazywam się Bettina.

— Nie, gdyż to jest imię ochrzczonej dziewczyny.

— A więc myślisz, że diabeł musi mieć imię męskie? Wiedz, głupi kapucynie, że diabeł nie ma płci.

Co mówiąc Bettina wybuchnęła śmiechem tak zaraźliwym, że poszedłem za jej przykładem. Kapucyn zwrócił się do doktora Gozzi i rzekł, że brak mi wiary, wobec czego należy mnie wyprosić z pokoju.

Brat Prospero zjadł z nami obiad, w czasie którego prawił różne i liczne brednie. Po obiedzie wrócił do pokoju Bettiny, aby ją pobłogosławić, lecz widząc go pochwyciła szklankę z jakimś czarnym, dostarczoną jej przez aptekarza płynem i cisnęła mu ją w głowę. Stojący opodal Cordiani dostał swoją porcję, co mnie wielce uradowało. Bettina korzystała z okazji, wiedząc, że wszystkie jej czyny idą na rachunek szatana. Brat Prospero odszedł, z pewnością niezadowolony, i radził zwrócić się do innego egzorcysty.

Bettine biorą za opętaną – Ojciec Mancia – Ospa – Wyjeżdżam do Padwy

Nazajutrz ku rozpaczy całej rodziny diabeł, który opętał Bettinę, usadowił się w jej umyśle. Doktor Gozzi powiedział mi, że musi być opętana, gdyby bowiem to był tylko obłąd, nie potraktowałaby tak przekornie kapucyna, i postanowił wezwać do niej ojca Mancia, dominikanina, niemniej sławnego egzorcystę, o którym mówiono, że z każdą opętaną dziewczyną potrafi sobie poradzić.

Był to wysoki i majestatyczny mężczyzna w wieku lat około trzydziestu, blondyn o niebieskich oczach, piękny jak Apollo belwederski, z tą różnicą, że nie triumf i pycha, ale skromność malowała się na jego obliczu.

Gdy weszliśmy, Bettina spała lub udawała, że śpi. Ojciec Mancia pokropił ją wodą święconą. Otworzyła oczy, spojrzała na mnicha i zamknęła je natychmiast. Po czym otworzyła je znowu, przyjrzała mu się nieco lepiej i z wdzięcznie pochyloną główką niby to zasnęła. Egzorcysta wydobyl z kieszeni rytuał i stulę, założył ją sobie na szyję, relikwiarz umieścił na piersi Bettiny i z arcyważną miną kazał nam klęknąć i modlić się. Klęczeliśmy tak przez pół godziny, gdy on cicho coś czytał. Doktor powiedział nam, że mnich przyjdzie nazajutrz i przyrzeka, o ile Bettina nie jest obłąkana, uwolnić ją od złego ducha w ciągu trzech godzin.

Na drugi dzień Bettina ciskała się w najlepsze i plotła największe niedorzeczności, których nie przerwała nawet na widok przystojnego egzorcysty; on zaś słuchał tego z przyjemnością przez kwadrans, a później kazał nam wszystkim opuścić pokój. Usłuchaliśmy go niezwłocznie. Drzwi pozostały otwarte, ale któż by śmiał zaglądać? Trzy godziny panowała tam głucha, cisza. W południe mnich nas zawołał. Bettina była smutna, lecz najzupełniej potulna, gdy egzorcysta zwiżał manatki. Odchodząc wyraził nadzieję, że jego zabiegi okażą się skuteczne.

Przekonałem się jednak wkrótce, iż Bettina nie była ani opętana, ani żadnemu obłądowi nie uległa. Stało się to w przeddzień święta Oczyszczenia Matki Boskiej; doktor Gozzi zwykł nas prowadzić do parafii Św. Augustyna, gdzie spowiadaliśmy się u księży dominikanów. Gdy zapowiedział to nam przy stole, matka jego dodała, że powinniśmy – tak samo jak ona – zwrócić się o absolicję do świątobliwego ojca

Mancia. Nazajutrz raniutko Bettina wręczyła mi kartkę: „Możesz mnie nienawidzić, lecz uszanuj moją cześć i spokój duszy. Żaden z was nie może się spowiadać u ojca Mancia. Ty jeden potrafisz do tego nie dopuścić”.

Nie umiem nawet wyrazić litości, jaka mnie ogarnęła, gdym czytał ową kartkę. Odpowiedziałem jednak w te słowa: „Rozumiem, że pomimo tajemnicy spowiedzi pomysł twej matki ci nie dogadza. Ale dlaczego nie zwracasz się w tej sprawie do Cordianiego, twego amanta?” Na co odpisała: „Nie rozmawiałam z Cordianim od owej fatalnej nocy, na skutek której tyle wycierpiałam. Nie przemówię do niego już nigdy i tobie tylko pragnę zawdzięczać cześć i życie”.

Zdecydowany okazać Bettinie pomoc, której się po mnie spodziewała, skorzystałem z odpowiedniej chwili przy kładzeniu się do snu i powiedziałem doktorowi Gozzi, że sumienie mi nakazuje prosić, abym mógł udać się do innego spowiednika, i że nie chciałbym się pod tym względem różnić od kolegów. Zacny mój profesor zgodził się chętnie.

Pewnego popołudnia leżałem w łóżku z powodu małej ranki na nodze, gdy doktor Gozzi był w kościele ze swymi uczniami. Skorzystała z tego Bettina, przyszła do mego pokoju i usiadła na łóżku. Spodziewałem się tego i widząc, że nadszedł moment decydujących wyjaśnień, powitałem ją z radością. Wyznałem, że już jej nie kocham, gdyż sama zniweczyła w zarodku moją piękną miłość.

— Wszystko, coś mi powiedział – zaczęła Bettina – opiera się na złym zrozumieniu i na pozorach. Nie kocham Cordianiego i nigdy go nie kochała. Cordiani – ciągnęła dalej – oświadczył mi się już w tydzień po przyjeździe i błagał, abym za niego wyszła, zaraz gdy zakończy studia, bo wtedy jego ojciec poprosi o moją rękę. Odparłam, że znam go za mało, że nie chcę wyjść za niego i proszę, aby zostawił mnie w spokoju. Jednak Cordiani widział nas razem i tegoż dnia po kolacji spadło na mnie pierwsze nieszczęście. Wsunął mi ten bilecik i ten list do ręki.

To mówiąc Bettina podała mi list i kartkę tej treści: „Albo wpuść mnie dziś do swojego pokoju zostawiając uchylone drzwi na podwórze, albo będziesz musiała jutro tłumaczyć się przed doktorem, bo mu oddam ten list, którego kopię tu widzisz!”

W liście Cordiani opisywał doktorowi, jak to jego siostra spędza ranki na karygodnej rozpuszcie ze mną, gdy on odprawia mszę.

— Po namyśle, którego sprawa wymagała – dorzuciła Bettina – zdecydowałam się wysłuchać potwora. Przy pierwszej uwadze na temat oszczerstwa zawartego w liście Cordiani rzekł mi, że to żadne oszczerstwo, bo przez dziurę w suficie nad twoim Józkiem widział ze strychu, cośmy robili owego ranka, i zakończył tym, że zdradzi to wszystko memu bratu i matce, jeżeli odmówię, mu tego, czegoś cię udzieliła.

Następnie Cordiani usiłował namówić ją do wspólnej ucieczki do Ferrary, gdzie miał stryja.

— Serce mi krwawiło na myśl o tobie – dodała – ale nie mam sobie nic do wyrzucenia i nic też między nami nie zaszło, co by mnie czyniło niegodną twojego szacunku. Byłem głęboko wzruszony, mimo że całe jej opowiadanie, choć mogło być prawdą, wydawało mi się kłamstwem. Bawi, cho mnie jednak udawanie, iż

biorę jej słowa za dobrą monetę. Dialog ten ciążył mi jednak coraz bardziej i zapytałem wreszcie, co mogę dla niej uczynić. Odpowiedziała smętnym tonem, że o ile serce mi nic nie dyktuje, ona sama nie wie, czego się winna ode mnie domagać. Chcąc ją pocieszyć rzekłem, że jedynym sposobem odzyskania mojej miłości będzie obietnica, iż zrezygnuje z usług przystojnego egzorcyisty.

Po kolacji służąca nie pytana powiedziała mi, że Bettina położyła się do łóżka z silną gorączką. Mogła to być rzecz naturalna, jednak wątpiłem. Nazajutrz Olivo, stwierdziwszy silną gorączkę, rzekł doktorowi, że chora majaczy i bredzi, ale że to z gorączki, nie z opętania. Gorączka nie ustępowała i czwartego dnia ukazała się wysypka Biedna dziewczyna była nią tak pokryta, że nie pozostało wolnego kawałka skóry. Dziewiątego dnia wezwano księdza ze świętymi olejami.

W dwa lata później Bettina, z którą już tylko braterskie łączyły mnie uczucia, wyszła za mąż za szewca nazwiskiem Pigozzo, skończonego szubrawca, który ją maltretował i do nędzy doprowadził.

Ja zaś studiowałem tymczasem w Padwie prawo i mając lat szesnaście otrzymałem stopień doktora iuris utriusque, na podstawie dwóch tez: z prawa cywilnego de testamentis oraz iurum Hebraei possint construere novas synagogas – z prawa kanonicznego. Prawdziwym moim powołaniem były studia medyczne i czułem wyraźną inklinację do tego zawodu. Jednakże żądano ode mnie, abym zgłębiał wiedzę prawniczą, do której czułem wstręt nieodparty. Tłumaczno mi, iż nie dojdę do fortuny inaczej, jeno będąc adwokatem, a co gorzej – adwokatem eklezjastycznym. Gdyby mi pozwolono iść za własnym gustem, zostałbym lekarzem, stan, w którym szarlataństwo oddaje jeszcze większe usługi niż w palestrze.

Obowiązek uczęszczania na wykłady umożliwił mi samotne wycieczki do miasta i chcąc wykorzystać nie znaną mi dotychczas pełnię wolności nie omieszkałem pokumać się z najsłynniejszymi ze studentów; otóż ten rodzaj ludzi to wyłącznie libertyni, gracze, opoje, dziwkarze, birbanty, urwisy i zbereźniki niezdolne do żadnych szlachetnych uczuć.

W tych czasach studenci w Padwie cieszyli się wielkimi przywilejami i w ich obronie nieraz popełniali zbrodnie. Nie karano ich z obawy, by zbyt surowość nie zmniejszyła napływu scholarzy, którzy zjeżdżali się z całej Europy do tego sławnego uniwersytetu. Rząd wenecki trzymał się następującej zasady: sownie opłacać profesorów o wielkim nazwisku i pozostawiać ich uczniom jak najwięcej swobody. Prowadząc ten nowy dla mnie tryb życia i nie chcąc uchodzić za mniej zamożnego od mych nowych przyjaciół, wydawałem więcej, niż mnie stać było. Sprzedałem więc lub zastawiłem wszystko, co posiadałem, oraz zaciągnąłem długi, których nie mogłem spłacić. Nie wiedząc, co począć, napisałem do mojej kochanej babki, która miast przysłać pieniądze, przyjechała do Padwy i podziękowawszy doktorowi Gozzi i Bettinie za ich starania, zabrała mnie pierwszego października 1739 roku z powrotem do Wenecji.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).